

Zabawa w Szekspira

Teatr „Komedia” w Warszawie: **WIECZOR TRZECH KRÓLI** Williama Szekspira w przekładzie Stanisława Dygata. Muzyka: Zdenek Hlavka, reżyseria: Alina Obidniak, scenografia: Krzysztof Panikiewicz, aranżacja: Roman Czuby i Wiesław Machan, choreografia: Henryka Komorowska, układ pojedynków: Waldemar Wilhelm, przygotowanie wokalne: Romana Krebsówna. Premiera 22 października 1971.

Przedstawienie zaczyna się mocnym uderzeniem. Dosłownie i w przenośni. Przy burzliwych, atakujących widać dźwiękach beatowej muzyki wbiega na scenę gromada młodych ludzi w czarnych treningowych kostiumach (nb. bardzo brzydkich i deformujących) — rozbawiona, roztańczona, żywiołowa. Dopiero po dobrej chwili zabawy nastroj się zmienia, ktoś wyciąga z kąta jakiś kostium, wkłada go, taniec faluje coraz wolniej, część zespołu wycofuje się za kulisy, na scenie zostaje grupa muzyczna i Orsino z mikrofonem, śpiewający piosenkę o miłości i o ukochanej. A potem wszystko toczy się już trybem ustalonym przez Szekspira przed blisko czterema wiekami, tyle tylko, że prawie wszędzie bohaterom komedii towarzyszy muzyka, że wiele partii tekstu zamieniło się w piosenki. Zresztą nawet nie „zamieniło się”; przecież, jak przypominam w programie Karol Stromenger, postaci *Wieczoru Trzech Króli* od początku wyśpiewywały piosenki miłosne i pijackie, a nawet wiele z tych melodii się zachowało. Dziś byłyby jednak raczej „przysmakiem archeologicznym” niż ilustracją muzyczną współczesnego spektaklu. Muzyka czeskiego kompozytora Zdenka Hlavki należy do gatunku współczesnej muzyki rozrywkowej i w tym Szekspirowskim musicalu spełnia swą rolę wybornie, tym bardziej, że w „Komedii” zaprezentowano ją w liczonym składzie orkiestralnym: 16 osób + występujący na scenie 3-osobowy zespół „Czas”.

Charakter muzyki Hlavki posłużył też niewątpliwie reżyserce jako punkt wyjścia inscenizacji. Przy całym szacunku dla tekstu (nie dopisano tu Szekspirowi ani jednego słowa) i kompozycji utworu przedstawienie zostało pomyślane jako zabawa ludzi młodych w teatr Szekspirowski, pełen miłosnych igraszek i tęsknot, zakończonych radosnym ich spełnieniem. Miłość jest tutaj przyczyną wszystkiego i choć to różne rodzaje miłości — wszystkie są pełne wdzięku nawet gdy chwilami z nich się śmiejemy.

Oto Oliwia (Teresa Mikołajczuk) — znudzona i rozkapryszona przymusową żalobą i zamknięciem, którymi broni się przed natarczywością niepożądanych załotów Orsina. Wiola (Agnieszka Fitkau-Perepeczko) — o

ruchach spłoszonej samy, itaka niewinna a talk przewrotna w sposobach zdobywania upragnionego chłopca. I wreszcie Maria (Barbara Bargielowska) — sprytna, żądna zabawy i umiejąca się cieszyć urokami życia. A dalej mężczyźni — Chudogęba (Włodzimierz Nowak), tym razem bardzo młody, śmiejący się komizmem w stylu clownady Olega Popowa, Błazen (Andrzej Mirecki), melancholijny i liryczny, Malwolio (Tadeusz Cygler), komiczny lecz nie pozbowiony swoistego wdzięku nawet wtedy, gdy kłpina z jego naiwnych marzeń osiąga punkt kulminacyjny, i Sir Tobiasz Czkawka (Marek Perepeczko), olbrzym mocarny i potężny, straszliwie ponury i chyba trochę nazbyt sposobem bycia i potężną grzywą niejakiego Gniewka z pewnego serialu telewizyjnego przypominający. I jeszcze Andrzej Polanowski, pięknie się pojedynkujący, któremu fryzjer straszliwą peruką właściwie uniemożliwił zagranie Sebastiana, oraz pełen szlachetnego wyrazu Lech Pietrasz w wielkielkiej roli Antonia.

Rzadko w „Komedii” wymienia się tytu aktorów jednego przedstawienia. Z tym większą przyjemnością robię to tym razem.

Zasluga to ich talentów i pracy, zasługa też — wcale nie mniejsza — realizatorów: reżysera, choreografa, mistrza szermierki. Przedstawienie w całości prawie oparte jest na muzyce; jej rytm wyznacza tempo — ostre od początku i brawurowo doprowadzone do finału. Scenograf, poza kostiumami, ograniczył się do zaprojektowania trzech tylko elementów zabudowy scenicznej: dwóch mansjonów i czegoś w rodzaju wielkiego pudła, spełniającego wiele różnych funkcji w zależności od położenia, jakie mu aktorzy nadają. Nie jest to zapewne zbyt piękna dekoracja, choć niewątpliwie egzamin z użytkowości zdaje na piątkę z plusem. Aha, jest jeszcze ogromny balon, co do którego użyteczności na scenie nie zostałam w 100% przekonana. Znakomity natomiast i ogromnie zabawny jest pomysł napisania wyzwania na pojedynk (pisze je, przypominam, Chudogęba do Wioli przebranej w chłopięce szatki) na olbrzymim, wielometrowym kawałku płótna, w którym płaczą się odczytujący je aktorzy, a który wreszcie spada jak ogromna zasłona na splecionych w uścisku Marię i Sir Tobiasza.

IRENA KELLNER